

JEST O CZYM PAMIĘTAĆ I CO WSPOMINAĆ.

W 75 rocznicę zakończenia II Wojny Światowej, kiedy mieszkałam przy ul.
SCHUSTERGASSE 11.

Uliczka, o której chcę pisać istnieje do dzisiaj, ale jest inna ładniejsza, ważniejsza i już - nie moja.

Tamta była mało zabudowana, więc domostwa oddzielały miedze i pola uprawne. I ta wolna niezabudowana przestrzeń z sąsiedztwem Białego Dunajca oraz Studzionkami wydawała się sięgać aż do Tatr. Tamta uliczka miała 25 domów w tym dwie piętrowe kamienice i jedną willę. Reszta to parterowe przeważnie dwuizbowe zabudowania.

Ta dzisiejsza ulica ma tych kamienic o 15 więcej, do tego duży budynek Bursy, obecnie zajmowany przez Starostwo, nową przecnicę czyli przedłużenie ul. Orkana, co ostatecznie pozbawiło moją uliczkę całej wolnej przestrzeni, a tym samym tego wyjątkowego charakteru cichej, sielskiej enklawy. Odrębność uliczki podkreślały również ogródki przed niektórymi domami. Rodzaj rosnących w nich kwiatów był zawsze taki sam: piwonie, narcyzy, mieczyki, konwalie, lilie. Więc roznosił się jednakowy zamach miły i swojski.

Uliczka w opisywanym przeze mnie czasie nosiła miano SCHUSTERGASSE. Miasto nazywało się Neumarkt-Dunajec i należało do Generalnej Guberni ze stolicą w Krakowie. A numer domu o którym piszę 4.

Okupacyjne wątki dziejów tego domu warto wskrzesić, bo przywołane do życia osoby i epizody dadzą świadectwo tamtych dni smutnych i tragicznych, z wszechobecnym cynizmem okupacyjnych lat.

Willa wtedy prezentowała się znakomicie. Wolno stojąca, wokół ogrodzona płotem ze sztachetek. Od ulicy ogrodzenie osadzone było na wysokiej betonowej podmurówce z bramą wjazdową, furtką z dzwonkiem, co robiło wrażenie. Piętro zajmowała kancelaria adwokacka, zaś na parterze mieściła się kuchnia ze spiżarką, trzy pokoje w amfiladzie i sypialnia z przylegającą do niej łazienką. Od południowej strony domu był taras połączony schodami z ogrodem. Willę zamieszkiwała rodzina żydowska Szlachetów składająca się z rodziców, córki Wisi studentki i syna Józka gimnazjalisty. Oprócz nich mieszkali jeszcze w willi gosposia Walerka i ogrodnik, oboje byli Polakami.

Stosunki międzysąsiedzkie były w naszej uliczce przyjazne, żeby nie powiedzieć prawie serdeczne, choć z rodzinami żydowskimi tylko oficjalne. Ograniczały się one do pozdrowień i zdawkowych uśmiechów a mierzone w skali „zażyłość” mieściłyby się w rubryce obojętne. Chociaż mam pewne wątpliwości, co do rodziny mecenasa bo to, że Józio Szlacheta ma jedną nogę krótszą widzieliśmy po bucie na bardzo grubej podeszwie, jaki nosił. Ale co studiuje Wisia i, że lubi muzykę poważną już musiało być gdzieś zasłyszane. Mecenas Szlacheta nie ma jednej nogi widzieliśmy, ale że Pani Szlachetowa lubi róże już musiał ktoś powiedzieć. Dlatego mniemam, że znaleźliśmy się nie tylko z widzenia. Nie mam jednak złudzeń, co do dwóch innych żydowskich rodzin mieszkających w naszej uliczce. One zachowywały większą rezerwę do sąsiadów Polaków. Natomiast mój stopień znajomości w opisywanym kontekście na pewno był nieco inny, gdyż będąc z natury gadatliwa i ciekawska przy każdym „dzień dobry” coś

opowiadałam albo o coś pytałam. Np. dlaczego przy drzwiach mają zamiast klamki taką mosiężną antabę?. I słuchając odpowiedzi przekraczałam próg prywatności czyli furtkę i drzwi wejściowe, co umożliwiało mi poznanie domu od środka. Oni czyli mieszkańcy willi tę „grę” chętnie ze mną podejmowali, poza Józiem gimnazjalistą. Tak więc mając wiele okazji bycia wewnątrz, poznałam zarówno rozkład domu, jego wystrój i umeblowanie. To moje wścibstwo okazało się pożyteczne, bo przecież istniały już w stosunku do Żydów rzeczowo opracowane plany III Rzeszy, które w zasadniczy sposób zmieniły dotychczasową rzeczywistość. Nadszedł przecież taki dzień, kiedy to nasi żydowscy sąsiedzi pod przymusem i bez protestów przesiedleni zostali do utworzonego getta. Wtedy uliczka stała się inna. Nikt już nie urządzał w pierwszą pełnię wiosny Paschy, nikt też nie szedł w sobotę do synagogi, więc zniknął nastrój szabasowego świętowania.

Egzystencja Żydów w nowym miejscu nie trwała długo, bo już 30 sierpnia 1942 r. Niemcy przystąpili do likwidacji getta.

I tu pragnę przytoczyć moje osobiste przeżycie związane z tym wydarzeniem.

30 sierpnia 1942 r. była niedziela, więc jak zwykle szłam na szkolną mszę świętą do Kościoła Św. Katarzyny, kiedy dowiedziałam się, że wywożą Żydów z getta.....a u Żydówki mieszkającej przy ul. Krasieńskiego jest nasza włóczka, jeszcze kupiona przed wojną - różowa i niebieska, z której ta Pani miała zrobić na drutach sweterki dla mojego małego brata. Więc jeżeli zaraz tam nie pójdę, myślałam to przepadnie, ale może jeszcze zdążę, nim ich wywożą. Nie zdążyłam; kiedy dobiegłam, już nikogo w domu nie było. Boczne drzwi wejściowe były zamknięte, ale te z podwórka przez ganek były otwarte. Żywego ducha nie spotkałam na ulicy, pusty był też dom. W kuchni, na lewo od drzwi wejściowych, pod oknem stał stół. Na nim trzy porcelanowe kubki, w dwóch z nich niedopite mleko. Weszłam do pokoju, gdzie po lewej stronie drzwi stała dwudrzwiowa szafa, do której to właśnie włożyła naszą włóczkę pani, która miała robić sweterki. I rzeczywiście - była na drugiej półce od góry. Z tą różnicą, że na drucie zrobione już były plecy z niebieskiej włóczki. Zabrałam, co nasze, spojrzałam jeszcze do drugiego pokoju-sypialni i tam zobaczyłam wyłożone na szczyty łóżek pierzyny. Tak jakby się miały tylko chwilę przewietrzyć. Ale tam już nikt nie miał wrócić, nocy przespać, mleko dopić, bo nim zaszło słońce oni wszyscy zostali zamordowani, przez zdymisjonowanych z człowieczeństwa Niemców.

Dzisiaj wiem, że byłam chyba jedyną osobą, która weszła na teren getta w trakcie jego likwidacji, zabrała z cudzej szafy swoją własność mimo że „rozmiszczony nad ranem plakaty i obwieszczenia ostrzegały, że będzie zastrzelony każdy Polak, który przechowa Żyda, zatrzyma jego mienie, będzie miał otwarte okna lub zatrzyma się na ulicy” /Dzieje Miasta Nowego Targu str. 380/.

Zagłada całych rodzin była gehenną żydowską, ale rozpatrywana w jednostkowym przypadku daje dopiero obraz niemieckiego bezprawia, pogardy, cynizmu. Czteroosobowa rodzina mecenasa Szlachety pozbawiona najpierw willi, dobytku wreszcie zamordowana po to, aby jakiś Niemiec zajął jej miejsce. Tym Niemcem był wspomniany w monografii Miasta Nowego Targu na str. 384, cytując: „ *nadzór nad szkolnictwem z ramienia Starostwa sprawował Urząd Szkolny. Kierowali nim od stycznia 1940r. R. Lenpold od 07.02. tegoż roku Stanisław Gąsiorek.*

Tyle w monografii o niemieckim urzędniku. Ale znacznie więcej pozostało w mojej pamięci. A zatem, dwie twarze Stanisława Gąsiorka: jedna, ta bliższa prawdy. On

nazwisko swoje pisał Gasiorek, a wymawiał z niemiecka Gaschorek. Oto zachowany w pamięci jego image. Przystojny, wzrost ok. 175 cm. Zadbany szatyn w wieku ponad 30 lat. Pewny siebie chodził z wysoko podniesioną głową. Jakkolwiek imię i nazwisko wyżej wymienionego jest bardzo polskie to, myliłby się każdy, kto próbowałby odnaleźć w nim choćby cień polskości. To był Niemiec całą gębą. Tym bardziej dla nas niemiecki, że biorąc w posiadanie luksusową willę po Szlachetach, stawał się sam współwinnym zbrodni czyli takie małe *Schadenfreude w wykonaniu szwabów*.

Druga twarz, to polsko brzmiące imię i nazwisko oraz pochodzenie podobno śląskie, a więc czy to był zagubiony aferzysta Polak, czy zwerbowany Ślązak - pozostanie na zawsze zagadką.

Przedstawione powyżej fakty nie dają pełnego obrazu, jak wtedy żyło się obok czy jak to było w moim przypadku - naprzeciw Niemców jednak okupantów. Więc zacznę swoją relację od status quo okupowanego miasta. Zlikwidowane zostały wszystkie polskie instytucje miejskie i regionalne. Zniszczono nasze godła i barwy narodowe, skonfiskowano prywatną broń i sprzęt radiowy, wprowadzono godzinę policyjną i nakaz zaciemniania okien. Wszystko to zrealizowano stosując terror w postaci licznych aresztowań, rewizji, deportacji do obozów zagłady, łapanek i egzekucji. Gwarantem podporządkowania się rygorom było życie kilkunastu zakładników Polaków, obywateli miasta.

Taką egzystencję można tylko nazwać *życie pod specjalnym nadzorem*, bo już właściwie zabrano nam wszystko, został nam jeszcze honor i wzajemna lojalność. Więc przestrzegając tych zasad „od Niemca” trzymaliśmy się z daleka, zachowując nadal bliskie relacje sąsiedzkie, praktykując zwyczaj siedzenia na ławeczkach przed domami, celebrować uroczystości kościelne i zachowując wiernie tradycje świąteczne. Ponadto my dzieci traktowaliśmy nadal naszą uliczkę jak plac zabaw. Cicho i nudnie biegły te trzynastogodzinne dni okupacyjne, pełne złych wiadomości, udręki o żywność i opał. Czasami monotonię ożywiało przybywanie nowych mieszkańców uliczki, jak to było w przypadku wysiedlonych z poznańskiego. Wtedy razem z nami zamieszkały 3 rodziny: Derezińskich, Głabiszów i Dziurawiczy oraz jedna z Kresów - rodzina Serneckich.

Latem zaś w 1941 r. do willi samotnego dotąd Niemca dokooptowała Frau Gasiorek wraz z 3 letnią córeczką. Kiedy w obszar manifestowanej obcości i oschłości wkroczyło małe dziecko pozbawione uprzedzeń, otwarte na znajomość z innymi dziećmi musiało się stać to co się stało. Monika - bo tak miała na imię dziewczynka - ilekroć wracała wózek ze spaceru bądź z zakupów, mijając nas dzieci bawiące się, uśmiechała się i pokazywała swoją pluszową małpkę albo coś, co jej akurat mama kupiła i mówiła*sieht an*.

Czasami zażyczyła sobie wyjść z wózka, oczywiście za przyzwoleniem swojej mamy i próbowała włączyć się do zabawy, na co Frau Gasiorek patrzyła z aprobatą uśmiechając się, ale nigdy nie mówiąc do nas nawet słowa. Ja, która od początku okupacji z własnej, nieprzymuszonej woli uczyłam się niemieckiego i w tym czasie potrafiłam już z sensem coś powiedzieć, czasami coś do Moniki mówiłam, stąd dziecko nabrało do mnie większej śmiałości.

Któregoś dnia Niemka razem z wózkiem znalazła się już za furtką, z uśmiechem zachęcała małą, aby szła do domu. Wtedy Monika wzięła mnie za rękę i ciągnąc za sobą, razem przekroczyliśmy furtkę, niemy próg niemieckiej prywatności. Odtąd ten

próg przekroczyłam kilkakrotnie. Dziś myślę, że widocznie rodzice wybrali mniejsze zło, czyli zabawy wspólne nawet z Polką, aniżeli ciągłą samotność swojej jedynaczki. Zdarzało się też czasami, że kiedy państwo Gasiorek planowali wyjście do Deutsche Haus, Herr Gasiorek pukał w nasze okno i zapraszał? czy polecał?, abym przyszła pobawić się z Moniką.

Niby tak samo a nie tak samo..... pomyślałam, kiedy po długiej przerwie znowu zobaczyłam wewnątrz domu Szlachetów. Stwierdziłam, że niewiele się zmieniło. Pokój za kuchnią tylko zmienił swoje przeznaczenie. Stał się pokojem dzieciennym, praktycznie i z gustem urządzone. W jadalni nie zmieniło się umeblowanie, zmienił się tylko wystrój. Do pokoju za jadalnią wstawiono biurko, fotele i stolik pozostały te same. W sypialni nad łózkami zawieszono inne obrazki, teraz były to prostokątne, oprawione w wąską drewnianą ramkę akty mężczyzny i kobiety. Nowością był też mały, pękaty szklany flakonik zawieszony tuż przy drzwiach sypialni.

Natomiast niespodzianką było odkrycie, że zarówno Walerka jak i ogrodnik nadal tam pracują.

Zasadniczo najbardziej zmieniła się w willi atmosfera. Z poważnej na radosną. A zresztą czy mogłoby być inaczej?. Młode małżeństwo, mimo wojny żyjące w luksusie, pewne swojej pomyślnej przyszłości, więc miły nastrój śmiechy, żarty, opowiadanie bajek, przekomarzanie się było codziennością rodzinnego życia. Kiedy bywałam powiedzmy „zapraszana” do Niemców, to wyłącznie bawiłam się z Moniką, ale dom należał do nas. Nie ograniczano nam w żaden sposób miejsca do zabaw. On czyli tata Moniki - całkowicie mnie ignorował, natomiast mama i owszem- uśmiechała się, rozmawiała, częstowała słodyczami, za które ja z góry dziękowałam pamiętając skąd oni się tu wzięli. Chowałam też w sobie bolesną zadrę wzgardzonej i poniżonej Polki.

A było tak, niby zwyczajnie w okupowanej Polsce. Szłam właśnie do rynku, minęłam przecnicę ul. Ogrodowej, kiedy idące po drugiej stronie ulicy niemieckie przedszkole widząc mnie zaczęło przezywać *Polnische Schweine*, wystawiać języki, pluć. Ani *Tante* idąca z przodu ani *Tante* z tyłu nie miały im nic do powiedzenia, mimo że były ich wychowawczyniami. A dziecko „*śmieć polskiego narodu*” nie mogło pojąć tej pogardy myśląc.....przecież ja im nic nie zrobiłam.

Powiedziałam już wystarczająco o willi i jej mieszkańcach, ale tak na wszelki wypadek, jeszcze kilka odpowiedzi na ewentualne pytania,

Do gosposi i ogrodnika Frau i Herr Gasiorek odnosili się przyzwoicie.

Myślę, że on rozmawiał z nimi po polsku, raz jeden słyszałam, jak w ogrodzie do ogrodnika powiedział *ja to zabiorę*.

Odwiedzały ich czasem inne rodziny niemieckie mieszkające w mieście, tak.....urządzali prośzone kolacje, przecież nie mieli godziny policyjnej, tak.....prosiłam, ale o nic dla siebie, tylko za Cesię Kozioł mieszkającą Schustergasse 8, której 6 kaczek puszczonej wolno na pola już po żniwach, weszło do ogrodu Gasiorka i zostało uwięzionych w komórce pod tarasem. Cesi się nie odmawiało, przecież dwóch jej braci mieszkających w Chicago walczyło w amerykańskiej armii. Więc poszłam z Cesią razem i wolność dla kaczek wyprosiłam.

Zrobiło się prawie wesoło za sprawą niesfornych kaczek, ale pora przywołać rzeczywistość okupacyjnych dni. Rynek i ulice powoli zatracaly dawną tożsamość, za sprawą niemieckich akcentów, stając się jakies obce. Niemieckie napisy na urzędach, niemieckie nazwy ulic, niemieckie afisze i swastyki zrobiły swoje. Do tego

wszechobecne niemieckie mundury i ten głośnik zainstalowany na rynku, który nieustrudzenie informował o odnoszonych zwycięstwach III Rzeszy, przeplatając je marszem wojskowym *heidi heido*.

W owym czasie mieliśmy już poczucie obywateli drugiej kategorii a wszystko za sprawą podziału *nur fur Deutsche*, przy czym tymi uprzywilejowanymi byli Niemcy. Dla nich był najpiękniejszy sklep w rynku *Deutsch-shop* obficie zaopatrzony. Ich był adaptowany do potrzeb kulturalnych i gastronomicznych budynek Sokoła nazwany *Deutsches-Haus* oraz ogród-park przylegający do tego budynku też *nur fur Deutsche*. I przedszkole, które nam zabrali i przerobili na *też tylko dla Niemców*.

A TERAZ O MNIE O NICH I NASZYM POPLĄTANYM DZIECIŃSTWIE.

Miałam 6 lat i 6 miesięcy, gdy Hitler napadł na Polskę a wydorosnąć musiałam w dniu, kiedy mój ojciec szedł na wojnę. Żegnając się dawał mamie rady i wskazówki, na koniec powiedział, że nie, wie kiedy wróci i że z wojny nie zawsze się wraca. I choć nas bardzo kocha, to iść musi. Wtedy myśli moje oblekły się w słowa wyuczonej w ochronce piosenki *Wojenko, wojenko* i rozrzewniłam się nad naszym losem.

Był to pamiętny czwartek, a już w piątek rano furą zaprzęgniętą w jednego konia, z rodziną mojego wujka wyruszaliśmy na *uciekinierkę*. Wtedy do reszty zapodział się gdzieś łaskawy świat mojego dzieciństwa. A ja stanęłam naprzeciw nowej rzeczywistości- złej i okrutnej. Rzeczywistości, w której, aby jeść, trzeba było wystać to jedzenie w kolejkach, aby mieć mleko trzeba było paść kozy. Żeby mieć jajka- należało hodować kury.

Po chleb chodziło się do Godawskiego, piekarnia była w tym budynku w którym później urządzono łaźnię. Po chleb stało się godzinami, bo obowiązywał tam swoisty porządek.....jak upieką - to będzie. Chleb był jednego gatunku, a bochenki duże, pewno dwukilogramowe. Mięso wyłącznie na kartki i wykupowało się go u Habury w rynku. I tu okupacyjna ciekawostka; kości ogryzione należało zwracać do sklepu wrzucając je do skrzyni za ladą. Przydzielone mleko pełne kupowałam dla mojego brata oseska w sklepie przy ulicy Szaflarskiej, w kamienicy Rajskiego. Tam też obowiązywał taki sam porządek...jak przywiozą to będzie. Stanie w kolejkach było nudne ale pouczające, tyle się można było nasłuchać! Jeszcze i wycwanić, bo wystarczyło podkurczyć nogi, a kolejkowicze sami wnosili cię do środka. Jak się było na bosaka albo miało za duże buty takie, wnoszenie było szczególnie przydatne. Zasad stania w kolejce nauczyłam się sama. Pasienia kóz też mnie nie uczono, dostało się kozę na sznurku i ciągnęło za sobą po miedzach, brzyzkach, krzakach pozwalając kozie paść się. Trwało to godzinami, zanim się najadła. Nas, pasących było więcej, więc dla zabicia nudy pasterskiego życia kurzyliśmy papierosy, najpierw robione przez nas samych skręty a potem, już te prawdziwe, kradzione z *Tabakwerku*. Dużo ludzi pracowało w tej niemieckiej fabryce więc papierosów nie brakowało nam nigdy, toteż swobodnie mogliśmy się szkolić, puszczać nosem dym i robić z dymu kółka. Pasterska tożsamość wymagała jeszcze umiejętności grania w „srulki” w „cymergały” i w karty w „sześćdziesiąt sześć” oraz w „zbója i zandara”. Bosi, często brudni, choć do Dunajca były trzy kroki i zawsze głodni na wszystko, co nie było chlebem z marmoladą robioną z buraków *trwaliśmy*jeszcze dzieci, więc nie nękami wywózką na roboty do Niemiec.

Do szkoły chodziłam, kiedy chciałam i już ubiegam tego, co chciałby powiedziećno

i jeszcze narzeka. Moja szkoła mieściła się w lokalu po sklepie w kamienicy Brudnika przy ulicy Waksmundzkiej. Wyposażona była w niezbędny sprzęt i żelazny piecyk do opalania, który rozpalała pani nauczycielka, w czasie lekcji dokładała węgla przegrzebując pogrzebaczem ruszt. Piecyk bowiem dawał ciepło, kiedy się w nim paliło a zasięg dobroczynnego działania piecyka był ograniczony. Wychodek był w podwórku, biegano się do niego ulicą przez bramę posesji. Przerwy spędzaliśmy na ulicy albo w tej sklepo-klasie. Nawet na gimnastykę nie zmienialiśmy pomieszczenia, tylko śpiewając przeważnie *Mam pajaca* zginaliśmy ręce i nogi podskakując przy tym, jak przystało pajacom. To pewno było niezbędne minimum naszego wykształcenia czyli lekcja śpiewu i gimnastyki w jednym. Nic nie traciłam nie chodząc czasami do takiej szkoły. Już biegle czytałam gazety, rachowałam też nieźle. A poważnie - to traktowałam naukę gry na fortepianie i tak na wszelki wypadek - naukę języka niemieckiego. Jako dziecko biednego, *lupionego* przez wroga kraju jak również moi rówieśnicy miewaliśmy wszy we włosach, wytrwale tępione naftą i wyczesywane gęstym grzebieniem - ustawicznie powracały. Na okrągło też cierpieliśmy na świerzb, który wyleczony piekącym smarowidłem ustępował, aby po jakimś czasie znowu nas zaatakować. Od wiosny do jesieni chodziliśmy przeważnie boso, bo było wygodniejsze niż utykanie się na zrobionych z drewna podszwach. Uczucia patriotyczne lokowaliśmy w „NASZYCH”, dzielnie walczących gdzieś na frontach świata. Dumni i zawsze zatroskani byliśmy o partyzantów, których wtedy nazywaliśmy „JĘDRUSIAMI”. Na tym chyba polegała ta nasza, wymuszona przez życie dorosłość a wyrażona w trzech słowach brzmiałaby: *NIC BEZ NAS*. Przecież wiedzieliśmy, co znaczy obława, gestapo, Palace, Oświęcim, Pawiak, widzieliśmy łapanie ludzi wywożonych potem na przymusowe roboty do Niemiec. Z autopsji poznałam sens słowa rewizja, kiedy do naszego domu wtargnęło trzech uzbrojonych Sonderdienstów, tłumacz i dowodzący, którzy z krzykiem *raus, raus* wyrzucili domowników na podwórko i tam kazali czekać na rezultat rewizji. Broni, której szukali, nie znaleźli, więc zachowaliśmy życie.

Koszmary bytowania okupacyjnego z grubsza wymieniłam, ale nie powiedziałam nic o małych radościach, jakie sprawiało nam rodzinne, wieczorne muzykowanie; fortepian, mandolina, czasem harmonia, organki i grane wciąż od nowa Walc Brahmsa, Fale Dunaju, Wróc do Sorrento itp. Urozmaiceniem było też wywoływanie duchów, przeważnie Tadeusza Kościuszki i Marszałka Piłsudskiego.

Tyle wspomnień „o nas dzieciach i naszym okupacyjnym dzieciństwie”.

A teraz wizerunek Niemca *ocieplony jego przychylnością*.

Była wiosna 1943 roku, kiedy w naszej studni zepsuł się tłok, więc po wodę musieliśmy chodzić na róg ulicy Szaflarskiej. Aby przywrócić sprawność studni, należało wymienić tłok a do tego potrzebna była skóra, a skórę można było nabyć tylko na *Bezugsschein*. Długo myślano w domu, gdzie należy się o niego starać. Wreszcie ustalono, że w rynku, w budynku obok sklepu Klimczyńskiej, czyli na dzisiejsze czasy budynek to Banku Pekao.

Któregoś dnia, kiedy już wystąpił ten przynależny nam bochenek chleba, przyszło mi do głowy, że może bym tak spróbowała iść po ten *Bezugsschein*. Co mi szkodzi, mam czas, to mogę iść - pomyślałam. Więc weszłam do budynku i dopytałam się, gdzie wydają asygnaty i dowiedziałam się, że na drugim piętrze. Oszklony dach zrobił na mnie wrażenie i atmosfera urzędowa trochę peszyła, ale nie rezygnowałam.

Urzędująca pani powiedziała mi, żebym czekała, bo pan który wydaje Bezugsscheiny jest teraz zajęty. Więc usiadłam w holu na krześle i czekałam. Miałam z sobą ten wystany bochen chleba podłużnego kształtu, który, jak postawiłam piętą na kolanach sięgał mi aż do ust. Zaczęłam go ogryzać. Żeby nie zobaczył tego przechodzący Niemiec, prędko obróciłam nieogryzioną piętą do góry. Kiedy Niemiec ponownie przechodził, przerwałam obgryzanie i znowu prędko odwróciłam bochenek. Wydawało mi się, że Niemiec nic nie zauważył, ale myliłam się - przejrzał moją grę. Udał, że wchodzi do pomieszczenia i raptem cofnął się nakrywając mnie. Roześmiał się, co i mnie rozśmieszyło, więc też wybuchłam śmiechem. Był to *Herr Niemiec od „wydawania”*; dostałam, jak się później okazało dwa *Bezugsscheiny*: jeden na skórę a drugi na „murzynki”. To były takie kopki ptasiego mleczka oblane czekoladą, przeznaczone „*nur für Deutsche*”.

Drugi dobry Niemiec, o którym usłyszałam od mojej kuzynki Stachy P. to żołnierz, który wszedł w czasie łapanki do stodoły w Białce, gdzie ona się ukrywała wraz z dwoma koleżankami. Kiedy zobaczyły Niemca w mundurze, zaczęły uciekać a on głośno klnąc „*donnerwetter*”, wyrzucał za nimi buty bo były bose a to był koniec grudnia.

Odnotowałam te ludzkie odruchy Niemców, aby wykazać, że moje wspomnienia są obiektywne. Jeszcze po stronie „*Niemcy bywali czasami ludźmi*” muszę napisać, że dostałam od Frau Gasiorek pudełko białych choinkowych baniek na Gwiazdkę.

Moje rocznicowe wspomnienia pragnę zakończyć mocno zakodowanym w pamięci widokiem poległego niemieckiego żołnierza, którego zobaczyłam rankiem 29 stycznia 1945r. między przeczną ul. Bolesława Wstydlwego a ul. Ogrodową; przed domem Bełtowskiego leżał na zmrożonej jezdni, głową w stronę rynku. Był młody, dwudziestokilkuletni, szczupły. Najlepiej zapamiętałam jego kształtną głowę oraz oczy szklane, na pewno zawiedzione, że to nie niebo nad jego rodzinnym landem. Nie miał już munduru, butów, hełmu czy czapki. Budziłby z pewnością współczucie gdyby, nie był najeżdźcą Niemcem.....więc mogłam tylko pomyśleć..... po coś tu przylazł?, Czego tu szukałeś?.....Swoi cię zostawili ?

U nas katafalku się nie doczekasz, karawanem cię też nie powiozą, żegnać nie będą..... Musi ci wystarczyć ta *GLORIA*, w jakiej maszerowałeś w podkutych żołnierskich butach po polskim bruku.

A dziś z racji wieku mogłabym jeszcze dodać.

Głupcze! Myślałeś, że bohaterem zostaniesz?

Nie wiedziałeś, że apoteozuje się wybitnie walecznych i epizody szczególne, reszta pozostaje na zawsze martwa i bezimienna.

A tak na sam koniec moich wspomnień zwyczajnie, dla przekory a może zwykłej satysfakcji, kilka słów z chętnie śpiewanej w dzieciństwie piosenki:

„*siekiera ,motyka piłka alas
przegrał wojnę głupi malarz*”

Wtedy zamieszkałam na powrót w Nowym Targu przy ul. Bolesława Wstydlwego 11, już nie ulicy SCHUSTERGASSE.

Maria Gilka

Nowy Targ styczeń 2020r.